

DAWID DOŁBA



OPOWIEŚCI Z GNIEWOGRODU

Część I

Dawid Dołba

Opowieści z Gniewogrodu



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2022

Dawid Dołba
„Opowieści z Gniewogrodu”

Copyright © by **Dawid Dołba**, 2022
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok**
Sp. z o.o. 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i
udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody
wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**
Projekt okładki: **Adam Brychcy**
Korekta: **Marianna Umerle, Robert Olejnik**
Ilustracje na okładce: **freepik.com**
Skład pdf, epub i mobi: **Adam Brychcy**

ISBN: 978-83-8119-967-4

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Prolog

Słońce dopiero wstało, leniwie wznosząc się na niebie. Pierwsze promienie światła spadły na budzący się las. Duncan nie spał. Był już po skromnym śniadaniu. Pół placka, trochę kwaśnej śmietany oraz cierpkie w smaku jagody znalezione na szlaku. Wszystko to z osobna nie smakowało dobrze, razem smakowało jeszcze gorzej.

– Jeszcze pięć dni wędrówki i będzie wieprzowina, tłusta świnka w sosie z ciemnych grzybów marcowych. Do tego pinta piwa albo dwie pinty – pocieszał się w myślach.

Za potrzebą udał się nad rzeczkę. Nie potrafił zmusić się do oczyszczania jelit przy starym Alojzym. Choć obojętny muł zapewne nie przejąłby się tym, znalazł idealne miejsce w wysokiej trawie i odpłynął myślami. Nie śpieszył się, koniec końców dużo spraw należało obmyślić. Zanim skończył, ujrzał zgrabną postać na drugim brzegu.

– Nie, nie, nie, tylko nie to, szlag! – zaklął w myślach.

Dziewczyna, zdawałoby się jednym ruchem, zrzuciła ubrania i jeszcze szybciej wskoczyła do wody. Sparaliżowany Duncan z całych sił starał się wymyślić cokolwiek i, jak to bywa w takich sytu-

acjach, nie wymyślił nic. Ze spodniami na kostkach, przykucnięty starał się nie ruszać.

– *Muszę być jak wąż tuż przed atakiem, stać się częścią otoczenia, nie wydawać żadnych dźwięków, ani nawet spróbować drgnąć. Bezruch, bezruch i cisza, bezruch i cisza* – powtarzał skupiony.

Jak się okazało, wężowa strategia działała, dziewczyna nieświadoma „drapieżnika” w trawie z rozkoszą oddawała się kąpieli. Kilka minut bezruchu niezwykle obciążało chłopaka. Mógłby przysiąc, że łydki wrzeszczą: „Koniec!”. Uda bolały gorzej niż po treningu z Valderem. Jakby tego było mało, przez ogromny wysiłek plecy załały się potem, który ze względu na dość nietypową pozycję znalazł dość nietypowe miejsce do spływania.

Duncan trwał dzielnie w bezruchu. Nie wiedział, jakim cudem tak długo wytrzymuje w niezbyt rycerskiej pozycji, nie miał też czasu się nad tym zastanawiać. Był zbyt zajęty dziewczyną. Alicja, bo tak ją nazwał, miała wszystko to, czego dotychczas tylko się domyślał. Domyślał się rzecz jasna minimum kilka razy dziennie, umilając sobie domysłami podróż oraz robiąc sobie z domysłów niemalże nową dyscyplinę rycerską.

– *Po kąpieli znajdę cię. Znajdę cię, Alicjo!*

Gdy postanowienie odnalezienia Alicji stało się decyzją, a zaraz potem najbardziej wyczekiwanym wydarzeniem jego krótkiego życia, Duncan przypomniał sobie, że Alojzy źle znosi samotność. Wyjąty wściekle osioł zjawił się tuż za nim, a po chwili jego oczy spotkały się z przerażonym spojrzeniem Alicji.

I.

Przyszli z rana skoro świat, kradnąc resztki
snu...

Gdy się obudził, słońce spoglądało z wysoka, atakując bezbronne powieki. Strumień światła ka-
lecył oczy. *Nikt nie lubi, gdy ktoś może się po-
rządnie wyspać, nawet słońce* – pomyślał. W po-
wietrzu unosił się słodki zapach grzechu i gru-
szek. Alojzy, skryty pod drzewem, wpatrywał się
leniwie w swego pana, żując jeszcze leniwiej zie-
loną papkę. Znaczną część papki stanowiła ośła
ślina, ściekająca w zdecydowaniu zbyt wielu miej-
scach. Dostrzegłszy to, zniesmaczony chłopak od-
wrócił się od zachęcającego do wymiotów widoku.
Chwilę później zabrał się za obowiązkowy zestaw
porannych czynności. Ziewnął przeciągle, wydając
dudniący odgłos, jakiego nie powstydziliby się
młody buhaj, po czym, wymacawszy swą męsko-
ść, poprawił jej ułożenie ze znanym jedynie
mężczyznom połączeniem delikatności i szacunku
zarazem.

Dopiero po pewnym czasie zorientował się, że
poznana wczoraj dziewczyna zniknęła. Kierowany
złym przeczuciem, zerwał się na nogi. Instynkt go
nie zawiódł. Zniknęły też spodnie, buty, sakiewka

oraz szacunek do samego siebie. Ten sam szacunek, który na skutek pomyślnych miłosnych poczynań z piękną Alicją niezwykle urósł zeszłej nocy. Jeszcze wczoraj Duncan nie wierzył, że ktoś uwierzy jemu! On, młodzieniec z gminu, uwiódł jedną ze strażniczek dróg. Uwiódł i wykorzystał. Tak mu się przynajmniej wydawało... Uchodzące za równie piękne, co nieuchwytne, strażniczki budziły podziw i szacunek wśród mieszkańców wszystkich krain. Obdarzone przez przyrodę zaufaniem, pobłogosławione witalnością oraz mądrością przemawiały w imieniu sił natury. Strzegły lasów, łąk, polan, jaskiń, mostów oraz rzek. Zsyłając pomyślną podróż na respektujących dawne zwyczaje ludzi oraz karcąc pyszałków. Żaden dowódca nie ryzykował przeprowadzenia swoich sił nie uzyskawszy wcześniej zgody. Wędrowni kupcy zwykli zostawiać drobne podarki przy wejściu oraz po udanym przejściu, a prości ludzie uciekali w popłochu, gdy tylko ktoś krzyknął: „Wiedźma!”. Mówiono o nich często, najczęściej szeptem, zawsze spoglądając wpierw przez okno w stronę najbliższego lasu.

– Tylko głupiec schodzi z wydeptanych leśnych traktów, a już tylko kompletny dureń bierze to za akt odwagi – przypomniał sobie słowa, którymi ostrzegał go pocziwy Pad, zanim opuścił rodzimą wioskę.

– *Dlaczego nic nie wspomniał o... hmm, no właśnie? Przed czym, niby przed czym miał mnie ostrzec? Przede mną samym? Głupi! Głupi, głupi ja!* – pomyślał, zaciskając zęby. Był wściekły. Wściekły na Alicję, na siebie, jeszcze trochę na Alicję, znowu na siebie, aż kątem oka dostrzegł muła. To wystarczyło. Cały wzbierający w nim gniew znalazł ujście. Był jak napięty do granic możliwości łuk, który czeka na odpowiedni cel, by zwolnić cięciwę i spełnić swoją powinność. Duncan poczuł przypływ sił. Zwrócił się w stronę muła, po czym skierował się biegiem w kierunku starego Alojzego. Nim zrobił dwa kroki, wykopyrtnął się. Pomimo braku świadków, poczuł jeszcze większe upokorzenie. Łzy same napłynęły mu do oczu, chociaż nie uchodził za mazgaja. Pięści zaciśnęły się mocno. W oddali zobaczył swojego towarzysza, który jak gdyby nigdy nic wciąż przeżuwał ospale żdźbła trawy. Ten widok w połączeniu z dyndającą na wietrze nagością rozjuszył chłopaka. Zerwał się na nogi, potrzebował kilku sekund by znaleźć się twarzą w „twarz” z mułem.

– Czemu nie zareagowałeś?! – zaczął Duncan, zupełnie nieświadomy jak dziwnie wygląda półnagi mężczyzna, wymachujący rękoma w kierunku muła.

– Dlaczego nic nie zrobiłeś, gdy ona przetrzepywała ci juki? Pytam cię, dlaczego? – powtórzył

zgrzytając zębami.

– Czemu się tylko gapisz? Do ciebie mówię, do ciebie, słyszysz? Ty tępy śmierdziuchu! – Alojzy milczał.

– Matka zaręczała, że jesteś przydatny, uparła się, żebym cię zabrał i tak mi się odwdzięczasz? Gdyby nie ja, już dawno byłbyś kawałkiem kielbasy. – Wziął głęboki wdech.

– KIEŁ-BA-SY! Dobrze słyszysz? Muły się zjada. Rozumiesz?! ZJA-DA! Wiesz co? – kontynuował zaciekle. – Byłbyś bardziej przydatny jako gówno. Mógłby w ciebie wdepnąć jakiś aglukański pomiot albo wyrósłby na tobie kwiatek, krzak, cokolwiek. Wszystko byłoby bardziej użyteczne od ciebie! Jak się z tym czujesz, że byłbyś bardziej przydatny w formie łajna? No jak? Powiedz, łajdaku! – Alojzy przechylił głowę, jakby ze zrozumieniem, na chwilę przestał żuć. Nastąpiła chwila ciszy, przeplatającej się z szybkimi, rytmicznymi oddechami chłopca. Czas zwolnił. Spojrzał w oczy swemu panu, po czym rozległ się dźwięk potężnego oślego pierdnięcia.

– Oszzz tyyy... – Duncan zamachnął się, gotów dzielić zwierzę po łbie.

– Zostaw tego biednego osła! – zagrzmiął męski głos.

Wystraszone ramiona Duncana podskoczyły, w całe ciało na pół sekundy wbiło się tysiące ma-

łych igiełek strachu. Usta zassały gwałtownie powietrze, usłyszał ciche „sss”, po czym wydały z siebie łamanym i zdecydowanie za wysokim głosem jedyne, co wpadło mu do głowy.

– To nie „łosioł”. – Cmoknął, świadom przejęzyczenia. – To znaczy osioł, nie łosioł. Tyle że to właśnie nie osioł, to muł..., muł to jest – poprawił szybko, płacząc się okrutnie.

– A kto powiedział, że mówiłem do ciebie, he?

Mężczyzna zatrzymał się. Wystarczyło jedno spojrzenie spod zmarszczonego czoła, aby Duncan poczuł się mniejszy niż był, jeszcze bardziej nagi i kompletnie bezradny. Nigdy przedtem nie doświadczył takiego wzroku. Zanim zdążył znaleźć jakiegokolwiek słowa inne, niż „ale”, którym zaczęła zdanie, stracił cały wydech na przedłużenie literki „e”. Jego „aleee” ciągnęło się w nieskończoność, próbował przełknąć ślinę, ale ślina się skończyła. W gardle miał tylko piasek. Przepychał go przez suche gardło, wyciągając mimowolnie brodę do przodu, za każdym razem coraz mocniej. Czuł się jak skończony debil, powinien skupić się na sensownej odpowiedzi, może ucieczce, ale zbyt intensywnie myślał o tym, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazł. Jedyne, co mu się udało, to nie udusić się podczas wymiany płynów w ustach.

– *Umrę zaraz po tym, jak bohatercko uniknąłem śmierci od własnej śliny. Nikt nie dowie się*

o moim męstwie – pomyślał rozczarowany sobą.
– *Zaraz mnie ukatrupią!* – panikował. – *Z fajfujem na wierzchu, niczym dewianta. Bogowie wiedzą, co zrobią wcześniej.* – Zanim znalazł mądrą odpowiedź albo jakąkolwiek odpowiedź, usłyszał kolejny głos.

– Daj spokój, Ace. Zostaw chłopaka. Nie jego szukamy.

– Nie mnie? – dodał niepotrzebnie, kolejny raz wychodząc na durnia.

– A powinniśmy cię szukać? – podejrzliwie, choć dużo łagodniej spytał Ace, przystanąwszy na jednej nodze.

Znalazłszy nieco odwagi, chłopak odpowiedział.

– Nie, nie! Naturalnie, że nie, bo i po co? Nic nie przeszkrobałem, nie mam bogactw, właściwie to... nie mam nawet spodni... – dodał po chwili namysłu.

Spojrzał w dół, jakby chciał potwierdzić coś, co potwierdzenia nie wymagało. Poranek nie należał do ciepłych. Chłodny wiatr systematycznie smagał go po męskości, skurczonej do granic możliwości. Nigdy nie pałał dumną za swoich rozmiarów, ale teraz widok był żałosny. Stojąc tak w pozie zachęcającej nieznanym do spoglądania na jego nagość, nagle zrozumiał, że nie jest mu wstyd. Ba! Było mu już wszystko jedno.

– Nie wygląda groźnie, co Ace? – przerwał milczenie ten drugi. Nie czekając na odpowiedź, przywołał Duncana do siebie jednym zdecydowanym ruchem ręki. Ani na chwilę nie odrywał od niego wzroku. Zmierzając w kierunku nieznanego, chłopak dopiero teraz spostrzegł, że mężczyźni posiadają prawdziwą broń. Stalowy oręż zakazany dekretem samego Madmazara Gniewnego stanowił wyposażenie jedynie wyjętych spod prawa, bądź tych, którzy go strzegli.

– *Albo mnie uratują, albo zabiją* – zrozumiał Duncan, zwalniając kroku.

– Szybciej, przecież nie gryzę! – ponaglał nieznanomy. Ubrany skromnie, nie zachwycał również posturą. Bardziej szczupły niż umięśniony, o wysokim czole oraz długim jasnym kucyku wyraźnie podkreślającym zakola, przypominał prostaczka. O sile jego prezencji decydował sposób poruszania się. Miał w sobie pewien rodzaj biernej agresji, czekającej tylko, aby stać się agresją aktywną. Duncan mógłby przysiąc, że czuje oddech zła ukrytego w cieniu powolnych, precyzyjnych ruchów mężczyzny.

– Jestem Peru Abis. Mów mi Peru. Ten tam to mój towarzysz Ace – rzekł spokojnie, gdy chłopak zbliżył się na odległość czterech stóp.

– Duncan, Duncan Daries... – zaczął niepewnie. – Czy wy..., chciałem spytać, czy... Chodzi mi

o to, czy wy w pewnym sensie....

– Czy chcemy cię zabić? Ha! – ryknął śmiechem. – Nie, chłopcze, naszym zadaniem jest chronienie tobie podobnych przed wszelkimi niebezpieczeństwami z rozkazu samego Madmazara Gniewnego. Spójrz. – Wyciągnął miecz z pochwy i uniósł go na wysokość głowy. Światło zatańczyło na ostrzu, ale nie uderzyło po oczach, jakby zgasło wchłonięte w okolicy sztychu. Zarówno rękojeść, jak i głownia były wykonane skromnie, co zupełnie nie umniejszało wrażenia, jakie robił oręż. O rozdziawionej gębie zorientował się dopiero po chwili. Widok ten najwyraźniej spodobał się Peru, gdyż dodał z dumą.

– To Glanberg, zwany też Blaskiem. Pierwszy z mieczy runicznych. – Przejechał delikatnie, niemal czule dłonią po Glanbergu, wpatrując się jak zaczarowany w słowa runiczne, po czym szybkim ruchem włożył Blask z powrotem do pochwy.

– Czyli nie jesteście bandytami? – wydukał Duncan, a na jego twarzy pierwszy raz dzisiaj gościła radość.

– Jesteś bezpieczny. Co prawda naszym celem nie było ratowanie młodzieńca z goła dupą, ale nie odmówimy pomocy! Dobrze mówię, Ace? Ace?! – wypowiedziawszy to, zorientował się, że jego towarzysz pogrążony dotychczas w przeczesywaniu okolicy zniknął. – Z nim tak zawsze, nie

potrafi ustać w miejscu – dodał kręcąc głową. – Jak mówiłem, nic ci nie grozi, jeśli...

– Jeśli oddam wam wszystko, co mam i zapomnę, że was widziałem, tak? – wszedł w słowo, czego momentalnie pożałował.

– Nie, durniu, nie masz nic, co moglibyśmy chcieć, poza tym mówiłem, że działamy w imieniu Gniewogrodu. Pomożemy ci, jeśli wytłumaczysz się z tego, co tu się właściwie stało. Tylko mów prawdę, całą prawdę, rozumiesz? – Jego ton zmienił się ze spokojnego na jeszcze bardziej spokojny, ale równocześnie drapieżny. Wzrok wbił w chłopca. Pochylił się w jego stronę. Był niczym zwierzę chwilę przed atakiem, gotowe do działania, jeśli tylko uzna to za stosowne. Wiedział, że nie żartuje. Zanim zdążył wykrztusić z siebie pierwsze słowo, coś ciężkiego i twardego spadło mu na ramię, niemalże gruchocząc kości.

– Tylko nie próbuj niczego pominąć kochany – dodał Ace, pojawiając się znikąd. Stał obok. Na zmianę klepał, ścisnął i masował ramię młodzieńca. W jego, zdawałoby się, przyjacielskim geście, przyjacielskości było tyle, co mięsa w wegańskim bigosie. Podczas uścisku potężny kciuk jeździł po kości. Paluch zupełnie nie przejmował się mięśniami, był niczym pług, przed którym ustępowały wszystkie mięśnie. Jedno szybkie szarpnięcie – tyle potrzebowałyby Ace, by wyrwać kawałek

muskułu razem ze skórą. Pomimo kiepskiej sytuacji, Duncan czuł się lepiej niż jeszcze 10 minut temu.

– *Nie jest źle* – powtarzał sobie w myślach. – *Przecież nie mam nic do ukrycia.* Spojrzał w dół na wciąż skurczoną reprezentację swojej męskości. – *Zupełnie nic..*

I zaczął opowiadać. O prośbie matki, o skróceniu sobie drogi, o Alicji, o wszystkim. Mówił dużo, starał się używać kwiecistej mowy, poprawnie akcentować, a nawet grać pauzą w co ciekawszych momentach. Planował po reakcjach nieznanym dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Zapamiętać, która mina zwiastuje uśmiech, a która złość. Poznać, w jaki sposób reagują i na co. Szybko się uczył, miał zdolność do zapamiętywania szczegółów, więc postanowił to wreszcie wykorzystać! Przewidywał, że zgromadzona w ten sposób wiedza może okazać się przydatna. Nie przewidział jednak, jak bardzo lubi gadać.

Słuchacze co prawda mogli mieć względem niego nieszczerą intencję, ale pytania zadawali chętnie. Nie wchodzili w słowo, nie oceniali, sprawiali wrażenie zainteresowanych, przytakując prosili o szczegóły. Duncan szybko poczuł się przyjemnie. Zbyt przyjemnie, gdyż plan stworzenia notatek w głowie z owej głowy wyleciał. Dopiero gdy skończył opowiadać, zorientował się, że

ma na sobie spodnie. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy je założył. Czekał. Czekał na opinie, może na decyzję, może na wyrok? Nie wiedział.

– Co myślisz, Ace? – spytał Peru, przysiadłszy sobie na okazałym kamieniu.

– Ciekaw jestem, co młody planuje. Bez tej no, ten tego gołej dupy, to i na mądrzejszego wygląda – przyjrzał się ponownie Duncanowi z góry na dół, tak jakby go nigdy wcześniej na oczy nie widział.

– Może nie na mądrzejszego, ale na tyćkę sprytniejszego – poprawił Peru i po widowiskowym strzeleniu się po kolanie dodał:

– No, no! Przeszedłeś przez grzybowy las! Trzeba przyznać: szczęścia to ci nie brakuje! – zamilknął na moment, patrząc w dal, po czym niespodziewanie huknął głośnym basem prosto w twarz Duncana.

– Za panną chyba nie zamierzasz się uganiać, co?

– Właściwie chciałem prosić was o...

Peru ryknął dudniącym śmiechem.

– Ha! Wiedziałem! Słuchaj no! Jeżeli dziewczka będzie chciała repetę, to cię sama znajdzie, a jak nie będzie chciała, to ty jej nie znajdziesz. Szkoda trudu, szkoda czasu, dobrze gadam? – zwrócił się do swojego druha.

– Racja! – potwierdził pewnie Ace.

– Robota czeka – stwierdził, odwrócił się i odszedł. Cechował się potężną posturą. Jego szerokie plecy poza dużym toporem dźwigały system pasków, klamer oraz zapieć odpowiedzialnych za niekończącą się liczbę dodatkowych kieszeni, narzędzi oraz tajnych skrytek. Nawet do masywnych butów, kończących się daleko za kostkami, przy-mocowane zostały jakieś dziwne małe haczyki. Pomimo tak wielu elementów składających się na strój, Ace poruszał się swobodnie, niewzruszony dodatkowym ciężarem. Kabury na noże oplatające szeroką pierś, grubaśny pas, prawdopodobnie mogący służyć dzieciom za huśtawkę, czy podłużna torba zamykana na sznurek obok topo-ra, wszystko to przylegało idealnie do ciała osiłka. Nie dyndało podczas ruchu, nie wydawało dźwięków. Poruszało się wspólnie, w harmonii z Acem. Duncan był pod wrażeniem. Patrzył z podziwem na znikającą wśród drzew potężną sylwetkę kolo-sa.

Nastała chwila ciszy. Peru milczał. Uznawszy to za znak do podjęcia inicjatywy, Duncan zaczął na okrętkę.

– Czy on tak zawsze kończy rozmowę w jej środku?

– Taki już jest, nie usiedzi w miejscu, ciągle praca, obowiązki i praca. Z naszej dwójki on robi za trzech – stwierdził ze szczerą skromnością. Si-

ęgnął do kieszeni i wyciągnął spory bukłak. Zanim jednak zdecydował się na pierwszy łyk, rozejrzał się wokół, po czym schował go z powrotem. W jego rękach zaś pojawił się znacznie mniejszy pojemnik. Tym razem bez wahania Peru otworzył manierkę i łyknął, wyrzucając raptownie głowę w tył. Odślōnięta grdyka przebiegła aż siedem razy po szyi. Najwidoczniej miała w tym sporą wprawę, gdyż tempa i rytmu mógłby jej pozazdrościć niejeden oddział piechoty.

– Uuu – razem ze świstem wydychanego powietrza rozległo się znane na całym świecie przywitanie organizmu z pierwszą dawką alkoholu. W tym samym czasie Duncana po nosie uderzył słodki zapach mirabelek. Nim zdążył zdecydować, czy uchodzi mu spytać o jednorazową degustację, manierka bez słowa komentarza znalazła się w jego dłoniach. Przetarł dłonią jej obślōniony koniec i bez zastanowienia skorzystał z okazanej mu szczodrości. Trunek zaczynał się niepozornie, delikatną nutką słodczy zawieszoną na języku. Po chwili dołączyły do niej kolejne. Z pozoru niepasujące do siebie przeróżne odcienie mirabelkowości szukały się chwilę w ustach, grożąc kakafo niczną katastrofą, by nagle odnaleźć się w niesamowitym słodko-kwaśnym tańcu. Taniec wypełniał usta, czarował harmonią, obiecywał nieznanne, po czym powoli wygasał, przekazując swój

ognisty temperament fali ciepła rozlewającej się swobodnie po całym ciele. Duncan nigdy wcześniej nie pił czegoś tak pysznego. Na jego dotychczasowe doświadczenia składały się głównie dobre, bo tanie wina. Pragnął wyrazić podziw, jednocześnie nie wychodząc na laika. Należało podziękować, ale się nie podlizywać. Wykorzystać temat do wykazania się elokwencją, taktem oraz humorem. Następnie wciągnąć Peru w swobodną z pozoru dyskusję. Umiejętnie poprowadzona powinna przekonać Peru do pomocy w poszukiwaniu Alicji. W myślach był już na etapie wspólnego podróżowania z nowymi znajomymi. – *Kto wie, może jeśli się wykażę, polecą mnie Madmazarowi?* – fantazjował. Stworzone z marzeń scenariusze przyprawiły go o gęsią skórkę. Nie mógł się doczekać przygód u boku dwóch przybocznych samego Madmazara Gniewnego. Pozostało jedynie z gracją poprowadzić dialog. Wino pomogło, rozjaśniło umysł. Zebrał pojedyncze myśli. Usystematyzował je. Stworzył mapę rozmowy. Od miłej gadki o niczym w wiosce Kogo To Obchodzi, przez miasteczko argumentów przejdzie do interesów w stolicy o wdzięcznej nazwie Sukces. Gotowy na podróż, dopingował się.

– *Łatwizna, jedziemy!* Zmrużył oczy, odchrząknął, wziął głęboki wdech, obniżył głos i poczuł siłę nalewki.

– Ale dobre... – wypalił, następnie zamilkł. Ogarnęła go niemoc. Potem złość. W głowie, choć to niemożliwe, rozbłysnęła ciemna pustka. Jedyne, o czym potrafił myśleć, to poprzeczna blizna szpecąca szyję Peru. Zauważył ją wcześniej, lecz dopiero teraz wyłoniła się z podświadomości i zaczęła walić do wrót wyobraźni. Nie potrafił jej przepędzić. Przejęła kontrolę nad zmysłami. Blizna opuściła jego umysł, przybrała postać węża i, wijąc się do góry, pragnęła opleść szyję Peru oraz zapewne go powiesić. Znał jej zamiary, ale nie interweniował. Poczekał, aż wykonała wyrok, aż siną dygoczącą twarz opuściły resztki życia. Lubił swoją wyobraźnię, ale nie lubił, gdy przejmowała kontrolę. Był wtedy skazany na przedziwne sceny, których nie potrafił przerwać. Dokładnie tak, jakby fantazja reklamowała swoje umiejętności. By zyskać na czasie, ponownie uraczył się winem. Nie spieszył się, dał sobie chwilę czasu. Przesadnie, niemalże teatralnie wypuścił powietrze po długim hauście.

– Wspominałem już, że bardzo dobre? – postanowił zacząć żartem. Peru odpowiedział, przytakując powściągliwie głową. Nie zrażał się; tym razem doskonale pamiętał, co chciał powiedzieć. Kolejny raz nabrał powietrza.

– Jesteś na to zbyt bystry, chłopcze. – rzekł spokojnie mężczyzna, ubiegając go.

- Na co? – zdziwił się.
- Chociażby na przekonywanie mnie do szukania młodej wiedźmy. – Uśmiechnął się.
- Ona nie jest żadną wiedźmą! Tylko strażniczką – odpowiedział ze złością.
- Mało tego! Jesteś zbyt bystry, żeby próbować odnaleźć ją samemu – kontynuował, ignorując oburzenie.
- Alicja nie może być daleko! Z waszymi umiejętnościami, gdybyśmy tylko szybko wyruszyli...
- ...ale nie wyruszymy – stanowczo przerwał.
- Ty też nie wyruszysz. Nie wiesz, jak się tropi, nie masz sprzętu ani prowiantu. Ha! Przed chwilą nie miałeś choćby spodni. Rusz głową, tym razem tą na górze. Ona cię wykorzystała.
- *Wykorzystała? Wykorzystała? Wykorzystała?*
- paskudne echo, odbijało się po całej głowie jak szalone, z każdym odbiciem dudniąc mocniej i wyraźniej.
- Może to tylko tak wygląda, może ktoś ją porwał? Musimy jej pomóc! Co z waszymi obowiązkami?! – nie dawał za wygraną.
- Niewiele wiadomo o strażniczkach dróg. Zwykle zjawiają się, by obwieścić wolę natury, w pewnym sensie są jej częścią. Rozejrzyj się! – rozłożył ręce, wskazując otoczenie.
- Alicja jest u siebie, to jej świat. Myślisz, że mogło spotkać ją coś złego we własnym domu?

Co więcej, w kwestii poszukiwań ufam Ace'owi. Skoro uważa, że należy odpuścić szukanie wiedźmy po lasach, to wiesz, co zrobić? Opuść sobie szukanie wiedźmy po lasach! Choćbyśmy chcieli, nie uda nam się. – Spojrzał mu w oczy, kładąc pojednawczo rękę na ramieniu.

– Wykorzystała cię, prawda. Ale ty chyba też trochę sobie poużywałeś, co? – kontynuował, nie pozwalając mu dojść do głosu.

– Ace! – zawołał.

– Czego? – z oddali zadudnił znany bas.

– Ilu znasz takich, co wydupczyli wiedźmę?

– Ona nie jest wiedźmą... – zaprotestował, tym razem znacznie ciszej, pod nosem i jakby do siebie.

– Nie znam.

– Słyszałeś? – powiedział Peru zadowolony. – Ja też nie znam nikogo, a trochę już chodzę po świecie. Zostałeś wydymany, ale nie pozostałeś jej dłużny w kwestii dymania, mam rację? – mru-gnął.

Duncan nie odpowiedział, jednak zdradził go pokrywający całą twarz rumieniec. Ku jego zdziwieniu, miłe wspomnienie nocy z Alicją wymalowało mu tuż pod nosem wstrętny uśmiezek. Świadomy sytuacji, w której żadne słowa nie zostałyby potraktowane poważnie, poddał się. Kolejny raz pokonany przez seks, i to przez taki, co to

miał już miejsce. Zwykle przegrywał z obietnicą seksu, choćby i domniemaną.

– *Żałosny, jestem żałosny.* – Widząc zrezygnowaną facjatę z przyklejonym obleśnym uśmiechem, Peru kontynuował.

– Nooo proszę! Tak jak myślałem. – Poklepał go po plecach w geście gratulacji. Duncan powoli odzyskiwał humor.

– Jak to mówią? Cicha woda brzegi rwie! Już nie bądź taki skromny. Za bystry jesteś, żeby traktować ten epizod jako porażkę. To było zwyczajstwo. Wzbogaciłeś się o niecodzienne wspomnienie. Zapamiętaj sobie: to, co w duszy, nikt nie ruszy! Gdy opowiem o tobie, wszyscy będą ci zazdrościć! – Chłopak wyraźnie się rozpromienił.

– *Ma rację, on naprawdę ma rację.*

Mężczyzna najwyraźniej przeczytał myśli Dun-cana, ponieważ dodał.

– To jak było jej na imię? Alicja?

– Tak się przedstawiła..., ale mogła kłamać, w końcu była... wiedźmą – rzekł z goryczą i poczuł wielką ulgę.

– Zbierajmy się – oznajmił.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok



Spis treści

Prolog	3
I.	6